
RYSZARD SAWICKI

ŻYJEMY TYLKO PRZESZŁOŚCIĄ

Uwagi podróżnika o tym, jaki wpływ ma szybkość ruchu w przestrzeni na samopoczucie oraz na poznawanie otaczającej rzeczywistości, pozwala zorientować się czytelnikowi nie tylko co do charakteru podróży, ale i podróżującego. Jakub Sobieski był doświadczonym peregrynatem i swoje doświadczenia starał się przekazać synom, Janowi i Markowi. „Owo zgoła wszystką peregrynacją swoją wypisujcie i distantias locorum i dróg swoich, gdzie jesteście, jakom i ja czynił”, pisał. A swój pamiętnik zakończył zdaniem: „We dwudziestym dziewiątym roku po zwróceniu moim zasiadłem w Żółkwi in Anno Domini 1642 i rekologowawszy się z pamięcią, lepiej, szerzej i dostatniej opisałem po polsku tę peregrynację po różnych krajach chrześcijańskich”. Postrzeganie świata podczas podróży przez kraje niemieckie, Francję, Niderlandy hiszpańskie, Holandię, Anglię, Hiszpanię, Portugalię, Włochy i Austrię zmieniało się z upływem czasu. Czytając stare opisy podróży i porównując je ze swoimi własnymi doświadczeniami, każdy współczesny turysta może dać świadectwo tym zmianom, choć nie każdy zadaje sobie trud spisania wrażeń. „Rekologowanie z pamięcią” Jakuba Sobieskiego nastąpiło po powrocie do domu, gdzie „lepiej, szerzej i dostatniej” można było pisać o perypetiach i przygodach.

Dokonywane podczas podróży pomiary przestrzeni oraz czasu pozwalały siedemnastowiecznym podróżnikom na zachowanie orientacji w zmiennych warunkach, a także na wypełnienie planu i osiągnięcie celu. Oczywiście, te siedemnastowieczne relacje nie zastąpią współczesnych przewodników, ale jeśli czytelnik pragnie podróżować w czasie, nie tylko w przestrzeni, to ich lektura staje się obowiązkowa. Zagłębiając się w przestrzeń historyczną, pamiętać jednak należy o tym, że „kraje mają swoje faktyczne i mityczne geografie”, jak pisał Yi-Fu Tuan w książce pod tytułem *Przestrzeń i miejsce*. Ten urodzony w 1930 roku amerykański uczyony pochodzenia chińskiego jest jednym z prekursorów geografii humanistycznej i twórcą indywidualistycznej koncepcji przestrzeni. „Istotom ludzkim potrzebne jest zarówno miejsce, jak i przestrzeń. Życie człowieka jest dialektycznym ruchem między bezpiecznym schronieniem, a przygodą, przywiązaniem, wolnością. W otwartej przestrzeni można intensywnie odczuć walory miejsca, a w samotności zacisznego miejsca ogrom rozciągającej się poza nim przestrzeni staje się dominujący”.

O dominującym ogromie przestrzeni przekonać się można jadąc samochodem przez kontynent amerykański, a jeszcze lepiej, gdy się podejmuje wędrowkę pieszą przez choćby jedną z niezliczonych dolin przecinających Sierra Nevada. Podobnych wrażeń spodziewać się może podróżny w górach i na płaskowyżach Azji. Amerykańsko-chiński uczyony-podróżnik potrafi doznawać wrażeń podczas

podróży w przestrzeń historyczną i z tych właśnie podróży czerpie swe pragnienie połączenia nauk humanistycznych z geografią. Jego humanizm łączy doświadczenia różnych epok, uczy jak łączyć doświadczenia odległych pokoleń po to, by człowiek nie zagubił się ani w przeszłości ani w teraźniejszości.

„Żyjemy tylko przeszłością. Przeszłość jest cudownym snem, do którego już może nigdy nie wrócimy. Teraźniejszość jest koszmarna, a przyszłość nie wiemy jaka”. Tak pisała w 1940 roku Helenka, osiemnastoletnia córka Krystyny Zaleskiej z Woźniakowskich i Romana Zaleskiego wywieziona razem z rodziną do miejscowości Georgijewka w Kazachstanie. Miała wtedy 18 lat. Jej siostra Inia (Maria) była o rok młodsza. W liście z 4 października 1940 roku Inia pisała: „Czasem przychodzą takie chwile, że wolałoby się spotkać z Babunią (zmarłą w 1920 roku Heleną Zaleską) i tylko nadzieja, że coś się jednak zmieni, pcha człowieka dalej”.

Georgijewka to niewielka osada położona niedaleko kirgiskiego Biszkeku i chińskiego Urumczy. W obydwu tych większych miastach był mój stryj Leszek, jednak podróżował jako turysta na początku wieku dwudziestego pierwszego i w ostatnich latach wieku dwudziestego, tak bardzo innych od lat czterdziestych. Nazwę Georgijewka zna ze wspomnień swoich lwowskich przyjaciół, którzy zesłani zostali w tym samym czasie, co państwo Zalescy. Nie omieszczał o tym wspomnieć, gdy oglądaliśmy jego przeźrocza z wyprawy.

„Ciocia z Inią pojechały robić drogi, już dwa tygodnie ich nie ma”, pisała Helenka w 1940 roku. „Ja pracuję w ogrodzie. Wychudliśmy i jesteśmy podobni do Kazachów. Przedtem byliśmy na stepie, stąd opalenizna. Prawdopodobnie będą nas jeszcze przenosić (tu jest system stałego przenoszenia), ale to obojętne, byle nas nie przenieśli na stałe do Babuni, chociaż i tam nieraz chcielibyśmy się znaleźć. Dotychczas spaliśmy na mokrej ziemi, dopiero parę dni temu Tatuś zdobył deski. Zimy bardzo się boimy, na razie sprzedajemy zawartość naszych walizek i jakoś żyjemy”.

„System stałego przenoszenia” nie odwoływał się bynajmniej do „dialektycznego ruchu między bezpiecznym schronieniem, a przygodą, wolnością”. W systemie sowieckich łagrów nie ma miejsca na geografię humanistyczną. Tuan podkreśla potrzebę zarówno wolności, jak i przywiązania do miejsca. Jego chińskie doświadczenia są cenne, zwłaszcza w kontekście rzeczywistości sowieckiej. Wspomnienia stryja z lat lwowskich skonfrontowane ze wspomnieniami jego przyjaciół, którzy doświadczyli realiów zesłania, są dla mnie niemniej cenne, bo dzięki nim zdaję sobie sprawę z roli przypadku w historii. Tylko przypadkowi zawdzięcza rodzina to, że nie podzieliła losu wielu innych Lwówiaków, między nimi państwa Zaleskich.

W sierpniu 1940 roku Inia pisze znów do rodziny w Polsce. „Nasze miejsce pobytu nie jest jeszcze całkiem ustalone, bo po złych urodzajach w tych stronach zapowiada się głód. Z owoców pokazały się tylko kawony, ale są bardzo drogie i trzeba pół dnia stać, by je dostać. Upały przechodzą, nastąpią teraz huragany i deszcze. Muszę już kończyć, bo zaraz powędruję w step”.

Siedemnastoletnia panienka, wnuczka Wacława Zaleskiego, ministra skarbu w rządzie austriackim za panowania Franciszka Józefa I, a także jej osiemnastoletnia siostra Helena, pisały listy w innych warunkach niż Jakub Sobieski pisał swoje wspomnienia. Nie „zasiadły w Żółkwi” ani w żadnym z bezpiecznych domów we Lwowie czy Wiedniu, by pisać „lepiej, szerzej

i dostatniej”, ale ich relacje, pisane skrótem, bo „muszę już kończyć, zaraz wędruję w step”, uważam za ważne uzupełnienie wszelkich przewodników po dwudziestym wieku, a także wszelkich rozważań o „przestrzeni i miejscu”, w których znaleźć się może człowiek. Czy to przypadkiem bowiem, czy jakimś zrządzeniem losu, bywa nam dane zawędrować w takie rejony świata, które warto wyłowić z pamięci choćby po to, by nie zgubić celu życiowej podróży.

O Waławie Zaleskim i jego rodzinie pisała Helena Morawska-Stec w swojej książce opublikowanej w 2010 roku. Roman urodził się szesnastego marca 1897 roku we Lwowie. Jego ojciec zmarł w 1913 roku, a w 1914 roku Roman znalazł się z matką i rodzeństwem (Aleksandrem, Marią, Elżbietą i Teresą) w Szwajcarii, najpierw w Lozannie, a potem w Genewie i Fryburgu. Uczył się nie tylko według programu szkoły średniej, ale chodził też do konserwatorium i pobierał w domu lekcje gry na fortepianie. Wraz z siostrą Marią dawali koncerty, z których dochód rodzina przeznaczała na cele charytatywne. Po zdaniu matury zaczął studiować prawo i ekonomię we Fryburgu, jednak nauki nie ukończył, bo został powołany do służby wojskowej i skierowany do jednostki stacjonującej we Lwowie. W 1918 roku poważnie zachorował na groźną odmianę grypy. W czasie choroby opiekowała się nim matka Helena. Mieszkali wówczas przy ulicy Mickiewicza. W noc sylwestrową polska artyleria oddała kilka strzałów z Wysokiego Zamku witając nowy rok. Ukraińcy omyłkowo potraktowali te wystrzały jako atak i odpowiedzieli ostrzałem artyleryjskim miasta. Jeden z pocisków wpadł do pokoju w momencie, gdy Helena podawała synowi lekarstwo. Wybuch pozbawił ją życia, a Roman został ciężko ranny, jednak ocalał. W 1920 roku przebywając latem w Krynicy poznał Krystynę (Titę) Woźniakowską, wnuczkę Henryka Rodakowskiego, polskiego portrecisty. W sierpniu wzięli ślub i zamieszkali przy ulicy Potockiego we Lwowie. W roku 1921 urodziła się im pierwsza córka Helena, półtora roku później Maria. Na początku lat dwudziestych Roman uzyskał tytuł doktora prawa i zaczął pracować w Banku Hipotecznym, a następnie w Związku Gorzeln Rolniczych. Zgodnie z wolą zmarłego w 1926 roku Dawida Abramowicza został dziedzicznym kuratorem Fundacji Abramowiczów, która była zakładem wychowawczym dla synów zubożałych ziemian. Do wybuchu drugiej wojny światowej zakład im. Abramowiczów, dzieło Romana, rozwijał się, kurator i jego współpracownicy snuli plany rozbudowy zakładu. W ostatnich latach przed wojną Roman był też kuratorem Zakładu Ociemniałych przy kościele Świętej Zofii we Lwowie. Podczas okupacji sowieckiej Roman walczył o zachowanie zakładu, ale władze zamknęły zakład, a dzieci zostały wywiezione w głąb Rosji.

Według relacji Heleny Morawskiej-Stec, Romanowie Zalescy zmuszeni byli wkrótce po wybuchu wojny przenieść się do mieszkania przy ulicy Technicznej, gdzie przebywali pół roku. Na wiosnę 1940 roku mieli zamiar przejść granicę w Rawie Ruskiej i dostać się do Krakowa znajdującego się pod okupacją niemiecką, ale tydzień przed planowanym opuszczeniem Lwowa, 10 kwietnia 1940 roku, zostali wprowadzeni z mieszkania przez NKWD i zesłani na Syberię.

„Właśnie wróciłam z sianokosów. Koczowaliśmy na stepie we cztery, dwie Polki i dwoje Kazachów. Każdy miał swoją furę, ładowało się siano, woziło pięć kilometrów wołami i stawiało stertę. Fury są tu kolosalne, o podwójnych drabinach. Spaliliśmy przeważnie pod stertą, jedzenie miano nam dowozić

z kołchozu, ale w ciągu dnia była tylko trzy razy zupa z baraniną i kipiatok. Lubię tę pracę, ale teraz z powodu przekłucia nogi widłami i spuchnięcia mam trzydniowe zwolnienie. Mamy specjalne książeczki, w których zapisują nam trudniej, ale czy dostaniemy zapłatę i ile, tego nie wiemy. Nasz pobyt w Gerogijewce uznajemy za możliwy w porównaniu z życiem w pobliskim mieście, gdzie nawet wodę trzeba kupować za dziesięć kopiejek wiadro. Niektórzy ciężko pracują w kopalniach. Tu i tam nastroje są jednak coraz gorsze, coraz smutniej i tragiczniej. Tak mało tu dobrych ludzi, na Polaków napadają, w niedziele nie pracujemy, chociaż jest praca. Często wieczorami śpiewamy sobie.”

Roman został zwolniony z pracy ze względu na stan zdrowia, a żonę uznano za domową gospodynię, w kołchozie zatrudnione więc były tylko Helena i Maria, a także Teresa, młodsza siostra Romana. Od śmierci głodowej ratowały ich paczki z żywnością wysyłane przez pracowników majątku Ostapie, przez gosposię ze Lwowa i siostry zamieszkałe w Krakowie. W lepiance o powierzchni trzech metrów kwadratowych, która stała się ich domem, mieli beczkę z kiszoną kapustą, a na ścianie wisiły, jako zapas na całą zimę, dwa wianki cebuli.

A zima zbliżała się szybko. Już 24 października 1940 roku Inia pisała, że „zima w pełni, wiatry takie, że trudno ustać, ale pracujemy, by dostać chleb”. Helenka dodała w tym samym liście: „roboty polne już się mniej więcej skończyły, na zimę dostaniemy trochę kapusty... cisza tu, nic nie wiemy co w świecie... jak to długo jeszcze potrwa?”

W listopadzie Helenka prosiła rodzinę o książki. „Jeśli możesz, to posyłaj nam książki, najchętniej Sienkiewicza i jakieś lekkie powieści do wspólnego czytania. Straszna rzecz, jak nie ma paczek, tu za pieniądze nic się nie dostanie, tylko na wymianę. Jesteśmy całkiem bez chleba, mąki nie ma. My już nie pracujemy... jak dostaniemy książki, to Ci napiszemy, ale na razie nie mamy papieru do pisania... coraz smutniej i ciężiej żyć”.

W grudniu nie było mniej smutno. „Jestem chora od dziesięciu dni”, pisała Helenka w liście z 12 grudnia 1940 roku. „Nie jem od dziesięciu dni, jestem bardzo osłabiona, ale już trochę lepiej. Z Warszawy pisała p. X, że otwarte są kina, a nawet ruletka. Czy to jest możliwe, że jeszcze jakiemuś Polakowi chce się grać na ruletce? Tu zaczęły się straszne buriany, stepowe wiatry. Dmie kurzawami śniegu i piasku, na dwa kroki nic nie widać, a wyjść nie można, bo wiatr człowieka przewraca. Ale nieraz są też takie dni, że przypominam sobie o Worochcie (tu też są góry). W takie dni mam ochotę przypiąć sobie narty i jechać... do Lwowa. Trudno jednak dłużej zachwycać się czymkolwiek, mam ochotę walić głową w mur. Parę osób próbowało zrobić to, co próbowała Basia Wołodjowska, ale trafiły do więzienia. O świętach nie zapominamy i Wy pamiętajcie o nas. Nasza Wigilia będzie Grottgerowska”.

Na litografii Grottgera zatytułowanej „W Syberii” artysta ukazał grupę pięciu mężczyzn idących po śniegu, którzy dźwigają na ramionach ciężki, drewniany krzyż. Inna litografia zatytułowana „Sybiracy 1863” przedstawia trzech mężczyzn rzeźbiących krzyż w drewnianym pniu. Na pierwszym planie obrazu olejnego z 1866 zatytułowanego „W drodze na Sybir” zobaczyć można mężczyznę w brązowym płaszczu, który upadł na śnieg, wyciągnął w górę ramiona w geście pożegnania ze światem. Klęczy przy nim towarzysz niedoli, za nimi widać grupę innych zesłańców eskortowanych przez rosyjskich żołnierzy. Obrazy o tematyce syberyjskiej malował też Pruszkowski i Malczewski. Obraz olejny Malczewskiego z 1892 roku nosi tytuł „Wigilia na Syberii”. Grupa

ośmiu mężczyzn siedzi przy stole przykrytym białym obrusem, spod którego wymykają się źdźbła siana. Na stole ustawiono talerze, obok nich leżą widelce i noże, ale talerze są puste. Stojący z prawej strony obrazu mężczyzna sypie ze zwiniętego skrawka papieru okruchy chleba na talerz, który podaje mu mężczyzna z drugiej strony stołu. Gruda brunatnego chleba, jeszcze nie połamana, leży pośrodku białej plamy obrusa. Światło wpada do izby przez okno po lewej stronie, ślizga się po ścianie, przy której stoi samowar. Jeden z mężczyzn nalewa herbatę z samowara. Tylko zajęci tymi czynnościami ludzie zdają się zwracać uwagę na to, co się dzieje w pokoju. Inni siedzą pogrążeni w myślach, które prowadzą ich do zupełnie innego świata. Usiłują wrócić we wspomnieniach do domów, które pozostają w odległej przestrzeni. Wszyscy zachowują powagę, na ich twarzach nie pojawia się uśmiech, lecz wyraz cierpienia. Najmłodszy z nich pochylił się nad stołem i zasłonił twarz talerzem, zapewne po to, by ukryć sączące się z oczu łzy. Helenka pisząca o wigilii syberyjskiej mogłaby dzielić się z tamtymi zesłańcami niejednym doświadczeniem.

Nim przyszła wigilia, Helenka długo zmagła się z chorobą. Dziewiątego grudnia 1940 roku pisała za nią Inia. „Helenka już dwa tygodnie leży chora na żółtaczce. Ciocia i ja chodzimy do roboty, bo wtedy dostajemy prawo taniego kupna mąki (piętnaście kilogramów na miesiąc), która inaczej jest bardzo droga. Teraz odgarniamy śnieg. Mrozów jeszcze wielkich nie ma. Od czasu do czasu silne wiatry, wtedy z chaty nie można wyjść. Ostatnio parę starszych osób zmarło”.

Tuż po świętach Helenka znów mogła pisać. „O świętach woleliśmy nie myśleć. Huragan duje, trudno wyjść za próg. Bardzo nam smutno, zimno i wilgotno. Na zapowiedziane paczki szalenie się cieszymy. Parę dni temu było 38 stopni mrozu, ale Inia i ciocia były w robocie, podmrażały sobie policzki i pięty. Miejscowi się śmieją, że to żadna zima, co Sybir to Sybir, mówią”.

Trzeciego stycznia 1941 roku Helenka znowu wzięła do ręki kartkę papieru, by napisać list. Była bliska załamania, chciała choćby w liście podzielić się z kimś strapieniem. „Tu tak okropnie i nikogo, kto by na duchu podtrzymał, bo każdy wlecze resztkami sił. I ten rozpaczliwy brak kościoła, księdza. Tutejsi ludzie ciągle wzywają szatana, co może doprowadzić do szału, ale przecież w głębi duszy wierzymy, że Bóg się nami opiekuje, chociaż często powtarzamy sobie: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił”. Zaczynają się teraz pochmurne dni, deszcze i wiatry, czyli gorzej, bo roboty nie ma, a nią człowiek choć trochę się absorbuje i znikają te straszne myśli. W taki dzień jak dzisiaj, to kompletnie zmysły się mieszają i tylko modlitwą można się pokrzepić. Wierzymy, że jakaś sprawiedliwość boża musi zapanować na świecie i te nasze cierpienia na marne nie pójdą, a może nawet komuś się przydadzą. Gdyby ludzie wiedzieli, jak wiele dobrego robią, pisząc do nas, to pisaliby i parę razy dziennie, ale niestety, tej sytuacji nikt absolutnie odczuć nie może. Chyba tylko Mickiewicz i inni poeci byłiby zdolni opisać, co nas otacza, ale byłyby to opisy znacznie bardziej przejmujące od tych, które powstały „na paryskim bruku”. Może jednak i pióro Mickiewicza by zadrżało, gdyby tu się znalazł, bo genialne zdolności czasem nie wystarczają, kiedy kiszki marsza grają, albo kiedy trzeba zbierać nawóz, by nim zagrzać trochę wody z kartoflami. Natchnienie wtedy łatwo ucieka, a pióro mogłoby posłużyć jako podpałka do pieca. Przysłali nam trochę książek ze Lwowa, ale właśnie Mickiewicza i Krasińskiego. Jak zaczęłam czytać „Pana Tadeusza”, to zaraz oblałam się łzami, bo mi przypomniał się zeszlóroczny

cudny teatr w Szymanowie. Teraz nie chcę brać do ręki tej książki, ani nawet widzieć jej tytułu. Z medalem Sodalis Marianus nie rozstaję się w dzień i w nocy, bo mi przypomina, że Matka Boża Jazłowiecka czuwa nade mną. Niestety dyplom przepadł we Lwowie, jak i wiele innych cennych rzeczy. Oprócz walizki wszystko mi przepadło. Proszę dużo się za nas modlić”.

Inia miała o książkach nieco inne zdanie niż Helenka, o czym pisała szóstego stycznia 1941 roku. Dodała też informacje o zorganizowanych podczas świąt nabożeństwach. „Bardzo serdecznie dziękujemy za książki. Ogromnie mnie ucieszyły i wszyscy je czytamy. Święta minęły, dziś Trzech Króli. Tak dzisiaj, jak i w święta, zebraliśmy się na nabożeństwa, które mają takie powodzenie, że będą prawdopodobnie co niedziela w innym pomieszczeniu. Do roboty rzadko się chodzi, a ja od dwóch tygodni nie wychodzę wcale, bo odmroziłam twarz, a teraz mam porządnie rozbite kolano. Na święta rzucili trochę rzeczy (cukier itd.), ale to jak psom ochłapy. Jednak i o te rzucone rzeczy trzeba walczyć. Dzieją się takie rzeczy, że Polacy i kobiety nic nie mogą zdobyć. Niektóre osoby głodują, od czasu do czasu robi się dla nich składki. Na ogół jest duża solidarność. Koło chat utworzyły się zwały śniegu, boimy się odwilży”.

Helenka pisała na razie o zimie. „Tu zima w pełni. Ciężko bardzo i często staje przed oczami napis, który Dante widział dobijając do celu podróży. Myślą jestem z Wami, między swoimi, chociaż dzielą nas nieprzebyte kilometry i przeszkody. Minął rok 1940, to dobrze, ale wciąż nie możemy sobie wyobrazić co przyniesie 1941. Niech nas Bóg strzeże i chroni od złego”.

Dwudziestego dziewiątego marca Helenka martwiła się z powodu zagrożenia powodzią. „Śniegi tają i zanosi się na powódź. U nas woda po kostki na razie tylko w sieni. Na drugą stronę ulicy nie można przejść, bo zamieniła się w rwącą rzekę. Ze zdrowiem marnie. Teraz za dwadzieścia dni pracy dali nam po trzy kilogramy mąki i na tym koniec”.

To wszystkie listy dziewczynek, które ocalały. Opis dalszych losów rodziny wyczytać można z listów pozostałych osób, których dotąd nie cytowałem nie chcąc przerywać toku narracji.

W marcu ojciec dziewczynek pisał o mijającej zimie. „U nas nic specjalnego nowego, tylko co dnia za Wami tęsknimy. Zima mija, już coraz mniej mrozów i burianów. Opieka czuwa nad nami. Do pracy ходzimy: śnieg, czyszczenie zboża. Poza tym dnie płyną monotonicznie w trosce o chleb powszedni”.

W kwietniu Roman dziękował za otrzymaną paczkę. „Znowu doszedł dowód Waszej najdroższej i tak z serca płynącej pamięci. Nawet nie możecie sobie wyobrazić, z jaką wdzięcznością i radością rozpakowaliśmy paczkę z tyloma cudnymi i nieocenionej wartości rzeczami. Wszystko przyszło według spisu, nienaruszone i dobrze zapakowane. Pisaliście o tym, że X. (Karla Lancorońska, przez Szwajcarię, przyp. H. M.S.) przyczyniła się w tak znacznej mierze. Nie mając jej adresu nie możemy podziękować, musicie za nas to uczynić. Żeby ona, tak boleśnie dotknięta i biedna, jeszcze o innych się troszczyła, jest naprawdę nadzwyczajne. Bóg jej to miłosierdzie wynagrodzi. Wszystkim bezimiennym ofiarodawcom zasyłamy na Wasze ręce serdeczne Bóg zapłać. U nas nic nowego się nie dzieje. Baliśmy się powodzi, bo przyszły nagle roztopy, rzeki płynęły aż pod naszą kuczę, ale jej nie zaczepiły. Wyglądało groźnie, jednak niebezpieczeństwo minęło. Inne chaty zalane. Teraz jest fantastyczne błoto, ale mamy wrażenie, że już nic innego nie grozi”.

Ciocia Teresa nie była taką optymistką. W tym samym miesiącu, kwietniu, pisała o dachu nad chatą grożącym zawaleniem, nawiązywała też, podobnie jak Helenka, do tekstów Dantego: „Lasciate ogni speranza, voi ch'intrate” (porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić). Poeta, który przypisał sobie rolę wędrowca do przypisanej mu roli wygnańca, umieścił ten napis na bramie piekła. Jego poezja, którą obydwie dziewczynki znały ze szkoły, znana była także wielu polskim wygnańcom niemal tak dobrze, jak poezja Krasińskiego czy Mickiewicza. Krasiński pisał o swej *Nie-Boskiej Komедii*: „Mam dramat dotyczący się rzeczy wielu wieku naszego. Jest to obrona tego, na co targa się wielu hołuszów: religii i chwały przeszłości”. Helenka płakała nad stronami *Pana Tadeusza*, o czym wspomniała w liście styczniowym, ale zapewne także i nad niejedną strofą dramatu Krasińskiego w księdze przysłanej ze Lwowa.

Teresa pisała w liście z czwartego kwietnia 1941 roku nie tylko o walącym się dachu. „Za tak częste dowody pamięci z całego serca dziękujemy. Każda kartka to prawdziwa radość i duchowy kontakt na tym bezdennym i mrocznym pustkowiu, o który nawet w koszmarach trudno, a właściwie niemożliwym jest sobie wyobrazić. Pióro Dantego by tego pisać nie zdołało. Wiosna już nadeszła, po strasznej zimie i powodzi. Woda była w sieni, teraz dach rozmoknięty się wali. Dziewczynki od 6 rano do 8 wieczorem w stepie. Orzą bykami, za co jako zarobek otrzymują trzy razy dziennie zupełną na miejscu i jedną trzecią kilograma chleba razowego oraz jeden lub dwa ruble, co się równa wartości jaja. Roman niedomaga i tylko dwa, trzy razy w tygodniu wychodzi do pracy. Tita niewypowiedzianie się męczy przy „gospodarstwie” domowym. Żaden fernal tak by u nas nie żył, jak my żyjemy. Wszystko po bająńskich cenach i niesłychanie trudno otrzymać. Ratuja nas paczki. Nadzieja na zmianę lub polepszenie bytu coraz mniejsza i smutek oraz tęsknota coraz większe. Ale i to minie. Bóg z Wami”.

Roman pisał zwykle krótkie listy, takie, jak ten z kwietnia. „Wszystkie Wasze przesyłki doszły w całości. Jaką nam radość sprawiły i jak wdzięczni jesteśmy – trudno opisać. W tych przesyłkach zakłute jest całe Wasze tak dobre i kochające serce, które, możecie być pewne, docenić umiemy. I wiemy, że robicie, co możecie, więcej nawet niżby spodziewać się można”.

W liście z dziewiątego kwietnia Teresa pisze nie tylko o polskich zesłańcach. „Tutaj jest miejsce zesłania. Spotyka się popów, archimadrytów, profesorów uniwersytetów. Parę dni temu był sąd i skazano kilka kobiet na dziesięć lat więzienia w Semipałatyńsku. Przebywa tam już sto Polek, głównie za chęć ucieczki lub język. Wszystko na skutek donosów miejscowych. Jesteśmy znienawidzeni, bo opowiadają, że gnębiliśmy biednych, a ostatnio ich żołnierzy, gdy wkraczali oswobodzić uciemiężony naród”.

Jeszcze dobitniej i z większą odwagą Teresa pisze w liście z 31 maja 1941 roku. „Tu jest przeklęty kraj: w lecie zabójcze upały, w zimie zabójcze zimno. W lecie posucha, w zimie buriany. Ziemia nic tu prawie nie rodzi i rzeczywiście trzeba pamiętać, że „w pocie czoła chleb twój jeść będziesz”. Skąd zresztą ta ziemia ma coś rodzić, kiedy klimat fatalny, posucha, fatalna uprawa i zupełny brak nawozów, sztucznych nie dają, a naturalny przerabiają na tzw. kiziak, który służy za opał, bo drzew ani śladu. Praca jest wstrętna, bo nie tylko w okropnych warunkach zdrowotnych, ale wszystko jest tak bałaganiarskie, brudne, poszarpane, a bydło i konie nieczyszczone, całe poranione, głodne i złe. Ludzie też źli, zazdrośni, przeklinają od rana do wieczora. Chwilowo orzą bykami, chociaż to robota zupełnie

niestosowna dla kobiety, bo byki nie chcą iść, kręcą się, padają. Trzeba pędzić cztery takie bydlaki, kilka razy dostałam już rogiem. Płaconym się jest od hektara. Te przeklętniki wykorzystują Polaków, bo każą po pięć razy przejeżdżać po tym samym miejscu. Dwa razy dziennie dają nam zupę kartoflaną z owsem, a mówią, że konie zdychają, bo my wyjadamy im owies. Siedemset gramów chleba kosztuje dwa ruble, czyli tyle, ile się zarobi bronując trzy morgi pola. Pracujemy więc za pomyje i chleb z otrębów. Twierdzą przy tym wszystkim, że to kraj sprawiedliwości, a u nas był wyzysk. Gdy chłodno, to jeszcze można wytrzymać, ale w skwarze to męka. Z tutejszego równouprawnienia kobiet wynika, że kobieta musi wykonywać te same prace, co mężczyzna i żądają od niej tyle samo normy. Jakie to wszystko ohydne trudno opisać, ale musi tak być w kraju, skąd Boga wyrzucono i panuje łajdactwo. Mamy w kołchozie praktykantki rolne z Semipałatyńska, młode, szesnastoletnie dziewczęta. Jaka tam u nich demoralizacja i co one opowiadają – to uszy więdną. Wszystko jest celowe, aby z człowieka zrobić bydlę i zabić w nim duszę. Oby tylko u nas się nie przyjęło, bo człowiek łatwo nasiąka tym, co złe, a jeżeli to potrwa, to młodzież nasza się rozpaskudzi”.

Teresa знаła dobrze warunki pracy na roli w przedwojennej Polsce, bo, jak pisze Helena Morawska-Stec w swojej książce o rodzinie Wacława Zaleskiego, zajmowała się administracją majątku Ostapie w województwie tarnopolskim, który należał do jej brata Aleksandra. Pomagała też ludności wiejskiej jako pielęgniarka po ukończeniu zawodowego kursu i po praktyce w szpitalu. Miała w Ostaniu stałe godziny przyjąć chorych, którzy tłumnie zgłaszali się do niej po poradę i na zabiegi. Darzono ją ogromnym zaufaniem. Ludność z Ostapia nie zapomniała o niej i jej rodzinie w czasie wojny i na zesłaniu. Kiedy enkawudziści wyprowadzili z domu rodzinę Zaleskich na rozstrzelanie, ludzie ze wsi tłumnie rzucili się w ich obronie i nie dopuścili do użycia broni. Po aresztowaniu Teresy i uwięzieniu w Skałacie, miejscowa ludność próbowała sprawić, by ją zwolniono. To jednak nie poskutkowało. Dopiero w czasie przesłuchania u naczelnika Teresa obiecała wskazać miejsce, gdzie ukryto srebro i dzięki temu została zwolniona z aresztu.

W czerwcu 1941 roku Teresa wysłała do siostry Marii Elżbiety Zaleskiej i do Marii Morawskiej ostatni list z zesłania. Nie przypuszczała jeszcze, że nadchodzi wyzwolenie. „U nas katastrofalna posucha i upały dochodzące do 50 stopni. Jestem bardzo zapracowana i przemęczona. Orzę bykami od 6 rano do 8 wieczorem. Nie masz pojęcia, co to za wstrętne bydlę taki byk. U nas brano do tego silnych mężczyzn, tutaj pracują Polki, bo ruskie nie chcą. Orzemy we dwie, jedna popędza zaprzęg czterech byków, druga pilnuje pług dwuskibowy. Trzeba cały dzień krzyczeć, jedną ręką ciągnąć za sznur uczepiony o rogi, aby byki nie schodziły z bruzdy, a drugą ręką walić nahajem. Dziś zostałam w domu, bo mi takie przebrzydłe bydlę stanęło na bosą stopę. Jutro niedziela, a do poniedziałku musi ból minąć, by znowu zacząć orkę. Te bydlaki nocą pasą się na stepie, gdzie trawa spalona, a rano musimy rozpoznać wśród kilkudziesięciu sztuk swoje i złapać je za rogi. Czasami wzdycham, by mieć Ursusa do pomocy. Polki mają dobrą markę, jako sumienne i inteligentne pracownice, ale dokuczają nam dostatecznie, używając takich określeń, jak „polskie panny”, inteligentne” albo przeklinają „pańską Polskę”. Krzyczą też, że nosimy medaliki. My się nie dajemy i odgryzamy się jak możemy, ale to wszystko razem nie jest wcale wesołe. Człowiek tak zmęczony, że w przerwie obiadowej chciałby zasnąć na go-

łej ziemi, ale nie można, bo trzeba pilnować, żeby byki nie uciekły. Nie wolno ich przywiązywać, bo mają odpocząć (człowiek nie musi odpoczywać). Gdyby się coś stało zwierzęciu, to staje się pod sąd. Tu nie ma człowieka, który by nie siedział w turmie, a traktują to, jak u nas wyjazd na lotnisko. Nic się jednak nie martw przyszłością, trzeba ufać Bogu, zwłaszcza wtedy, gdy wszelka nadzieja zdaje się być stracona. Bóg pomoc nadeśle wtenczas, gdy zawiodą wszelkie ludzkie nadzieje”.

I tak się stało. Po zawarciu 30 lipca 1941 roku umowy między rządem polskim w Londynie a sowietami, wielu zesłańców odzyskało wolność. Udało się też rodzinie Zaleskich. Kiedy jechali na południe, na stacji w Buzułuku, gdzie formowała się polska armia, Teresa rozpoznała w tłumie brata Aleksandra, o którym przypuszczała, że nie żyje. Był w stanie skrajnego wyczerpania, brudny, wychudzony, ze zmienionymi rysami twarzy. Teresa zabrała go do szpitala jako swojego pierwszego pacjenta.

W chwilach wytchnienia mogła sobie powtarzać wiersz Konopnickiej pod znamiennym tytułem: *Contra spem spero*. Odnajduję tekst w niewielkim tomie wydanym w Warszawie (druk w Krakowie) w 1911 roku. Książkę przewiozła ze Lwowa matka ojca, Zofia. Książka jest niewielkiego formatu, jakby przystosowana do tego, by ją wziąć w podróż. Babcia podarowała mi ją dawno temu, przed moją imigracją do Ameryki. Wskazywała ten wiersz na pocieszenie, próbując mnie odwieść od decyzji wyjazdu. Odnalazłem ją na półce w domu rodziców po powrocie do kraju i ze wzruszeniem przeczytałem wszystkie strofy pod tytułem, który powtarzałem sobie często podczas siedemnastu lat nieobecności, by zachować nadzieję, wbrew obawom (całego wiersza nie zapamiętałem, nie miałem tak dobrej pamięci, jaką miał stryj Leszek, który potrafił cytować nawet prozę Sienkiewicza). Do tego wiersza wracałem też w ostatnich latach, zwłaszcza wiosną 2010 roku.

Przeciw nadziei, co stoi na chmurze
Łez, prędkim wichrom rzuciwszy kotwicę,
A obrócony wzrok trzyma na burze
I nawałnice...
W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei,
Przeciw nadziei.

[...]

Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły;
Idziem – jak idą bezdomne przechodnie,
Z zwiędłymi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady.
Wiem! Niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli...
I ja też lecę jak ptak obłąkany,
Z wichrem gnany.

Przecież o zmierzchu skrzydłami bijąca

I piekiel naszych ogarniona sforą –
 Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
 Contra spem spero...
 I w głębi mogił czuję życia dreszcze,
 I ufam jeszcze.

Przeciw nadziei i przeciw pewności
 Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
 Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
 W jutrznię błękitów...
 I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei –
 Przeciw nadziei.

W szpitalach wojskowych Teresa miała pełne ręce roboty. Ciężki atak malarii, której się nabawiła podczas wędrówki Drugiego Korpusu przez Bliski Wschód, nie skłonił jej do opuszczenia wojska. Pomagała żołnierzom rannym pod Monte Casino i na północy Italii. W roku 1946 odpłynęła z transportem rannych do Anglii i tam pracowała aż do kresu sił w szpitalu wojskowym w Penley-Hall. Na skutek przemęczenia, choroby serca i ataków astmy, zmarła w 1948 roku i została pochowana na lokalnym cmentarzu wojskowym. Żegnali ją tłumnie wdzięczni pacjenci, koleżanki i koledzy.

Helena oraz Maria Zaleskie wyjechały wraz z rodzicami z Georgijewki 23 października 1941 roku kierując się na południe. Kiedy rodzina dotarła do Taszkientu, ojciec Heleny i Marii, Roman, znalazł się w szpitalu z powodu choroby serca i załamania nerwowego. Córki musiały zabiegać o to, by nie brakowało mu jedzenia, sprzedawały resztki rzeczy, które zdołały zachować. Z tego powodu musiały się pozbyć zegarka, a także części swojej odzieży. Ojciec wyszedł ze szpitala dopiero po dwóch miesiącach. To nie był niestety koniec ich problemów zdrowotnych. Kiedy dojechali do Kattakurgan, miejscowości położonej przy linii kolejowej łączącej Bucharę z Samarkandą, matka zachorowała na tyfus płamisty, Inia na dyzenterię, a ojca pogryzł w nogę pies, tak, że dostał niebezpiecznego zakażenia. Miał wysoką gorączkę. Helena była jedyną osobą, która nie zachorowała, opiekowała się więc rodziną, jak mogła, zdobywając żywność i przygotowując posiłki. Lekarstwa były niedostępne, graniczyło więc z cudem, że wszyscy troje wyzdrowieli, choć organizmy były wyczerpane po bytem w łagrze. W marcu 1942 roku Helena i Maria dostały telegraficzne wezwanie do służby wojskowej przy Armii Andersa, gdzie pracowała ich ciotka, Teresa. Zgłosiły się do wojska, złożyły przysięgę żołnierską. Gdy armia polska ruszyła w kierunku Europy, Helena i Maria połączyły się znów z rodzicami, którzy w międzyczasie dotarli do Teheranu. Roman nawiązał w Teheranie kontakt z niemieckimi salezjanami i z apostolskim delegatem na Iran, późniejszym nuncjuszem apostolskim w Libanie, arcybiskupem Alcide Marina. Zarówno salezjanie, jak i arcybiskup otoczyli ich troskliwą opieką. Salezjanie znaleźli dobry pokój w wili niedaleko swojego kościoła, a Marina wystarał się o żywność i odzież. Dzięki rekomendacji polskiego konsula, Roman dostał pracę w angielskiej firmie transportowej. Za uzyskaną z góry zaliczkę małżonkowie opłacić mogli mieszkanie i rozpoczęli w miarę normalne życie. Po niedługim czasie Roman został przeniesiony na stanowisko sekretarza do spraw personalnych i miał angażować polski personel do prowadzenia pięciu domów pracowniczych w Teheranie. Znalazł pracę dla ponad osiemdziesięciu polskich uchodźców z sowieckich łagrów. Miał też nadzór nad magazynami sprzętu sa-

mochodowego, pracował w Komitecie dla Uchodźców. W 1944 roku rodzice wraz z córkami przenieśli się do Bejrutu, gdzie Roman dostał pracę w kancelarii wydziału lekarskiego przy uniwersytecie francuskim. Zorganizował Dom Polski w Libanie, który mieścił restaurację, kawiarnię, bibliotekę, czytelnię, salę zebrań i niewielki hotel. Inia i Helenka zdały maturę i zaczęły studia uniwersyteckie. Inia studiowała prawo, a Helenka pielęgniarstwo.

Helena Morawska-Stec cytuje w swojej książce telegram Romana do rodziny z lutego 1942 roku. „Córki zdają maturę, brat u Nilowskich (w Egipcie, przyp. HMS), wszyscy zdrowi, bądźcie o nas spokojni. Uściski, Romanowie”. Egzamininy końcowe Heleny wypadły tuż przed jej ślubem ze Stanisławem Sławińskim, kapitanem, dowódcą łączności w Armii Andersa, który się odbył 29 października 1946 roku. Państwo Sławińscy wyjechali z Bejrutu do Anglii i zamieszaali w Londynie. Po wojnie dołączyli do nich Romanowie oraz Inia. Po drodze przez Palestynę dotarli do Kairu, gdzie spotkali się z bratem Romana, Aleksandrem. Roman dostał zasiłek rządowy, żona zarabiała korepetycjami z języka francuskiego. Inia pracowała w kancelarii adwokackiej. Nie wyszła nigdy za mąż. Dziś Helena i Inia mieszkają w londyńskim domu nabytym przez ojca tuż przed śmiercią w 1955 roku. Według słów Heleny Morawskiej-Stec, kontakt z Helenką jest utrudniony ze względu na wiek, Inia trzyma się jeszcze, choć nie może wychodzić z domu na spacer do pobliskich parków, czego żałuje, bo zawsze bardzo lubiła przyrodę. Wychodzi jednak często na balkon i stamtąd obserwuje bieg pór roku.

W listach obu dziewczynek, dziś staruszek, a także w książce o losach rodziny Wacława Zaleskiego spisanych przez Helenę Morawską-Stec, znalazłem to, czego szukam zwykle w takich tekstach. Na początku drugiej dekady drugiego milenium czytam o *distantias locorum* oraz o drogach, którymi przeszli rodacy w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Czytam i porównuję ich przeżycia ze swoimi przeżyciami w różnych miejscach na kilku kontynentach. Mówię sobie: „po zwróceniu swoim zasiadłem” nie w rodzinnym Lwowie ani Buczaczu, lecz we Wrocławiu. I „rekoliguję się z pamięcią” własną, ale też innych peregrynatorów, by lepiej i szerzej patrzeć na otaczający świat. Nie tylko z balkonu. Patrzę na dęby Parku Szczytnickiego za oknami domu rodziców i staram się przypomnieć sobie jak długie były cienie drzew przed moim wyjazdem z Polski. A kiedy zmęczone się takimi pomiarami czasu i przestrzeni, jakie wynikają ze wspomnień o cieniach drzew, staram się patrzeć poza ich korony. Poza horyzont dwudziestego pierwszego wieku. Nie wychodzę dalej, niż pozwala mi na to pamięć moja i tych znajomych lub nieznajomych osób, które spisały swoje wspomnienia, ale to nie przeszkadza mi w podróży, choćbym docierał w myślach do innych krajów niż chrześcijańskie. Pamiętam, że „istotom ludzkim potrzebne jest zarówno miejsce, jak i przestrzeń” i w samotności miejsca staram się wyczuć ogrom otaczającej przestrzeni. Tej współczesnej oraz historycznej. Nie gubię się w niej dzięki przewodnikom takim, jak ci peregrynaci, którzy znaleźli ścieżkę do domu pomimo trudności i przeszkód.